

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

ZŁODZIEJ
CZASU

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

ZŁODZIEJ
CZASU

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THIEF OF TIME

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 2001
This edition is published by arrangement with Transworld Publishers,
a division of The Random House Group Ltd.
All rights reserved

Projekt graficzny serii
Zombie Sputnik Corporation

Ilustracja na okładce
Copyright © Josh Kirby via Agentur Schlück GmbH

Redakcja
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Grażyna Nawrocka

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-576-3

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII
★
BLASK FANTASTYCZNY
★
RÓWNOUMAGICZNIENIE
★
MORT
★
CZARODZICIELSTWO
★
ERYK
★
TRZY WIEDZMY
★
PIRAMIDY
★
STRAŻ! STRAŻ!
★
RUCHOME OBRAZKI
★
NAUKA ŚWIĄTA DYSKU I i II
★
KOSIARZ
★
WYPRAWA CZAROWNIC
★
POMNIEJSZE BÓSTWA
★
PANOWIE I DAMY
★
ZBROJNI
★
MUZYKA DUSZY
★
CIEKAWY CZASY
★
MASKARADA
★
OSTATNI BOHATER
★
ZADZIWIĄJĄCY MAURZYCY I JEGO UCZONE SZCZURY
★
NA GLINIANYCH NOGACH
★
WIEDŹMIKOŁAJ
★
WOLNI CIUTLUDZIE
★
BOGOWIE, HONOR, ANKH-MORPORK
★
OSTATNI KONTYNET
★
CARPE JUGULUM
★
PIĄTY ELEFANT
★
PRAWDA



Według „Drugiego Zwoju Wena Wiecznie Zaskoczonego”, Wen wyszedł z jaskini, gdzie doznał oświecenia, w światło brzasku pierwszego dnia reszty swego życia. Przez pewien czas spoglądał na wschodzące słońce, albowiem nigdy go jeszcze nie widział.

Trącił sandałem Mulisty Staw, swego ucznia śpiącego przed jaskinią, i rzekł:

– Zobaczyłem. I teraz rozumiem.

Po czym przerwał i spojrział na coś obok Mulistego Stawu.

– Cóż to za niezwykle obiekt? – zapytał.

– Eee... Eee... To jest drzewo, mistrzu – odpowiedział Mulisty Staw, wciąż nie do końca rozbudzony. – Nie pamiętasz? Rosło tu wczoraj.

– Nie było żadnego wczoraj.

– No ale... wydaje mi się, że jednak było, mistrzu. – Mulisty Staw podniósł się z trudem. – Pamiętasz? Przybyliśmy tutaj, a ja przygotowałem ci posiłek i dostałem skórkę z twojego *sklang*, bo ty jej nie chciałeś.

– Pamiętam wczoraj – oświadczył Wen w zadumie. – Ale to wspomnienie jest w mojej głowie teraz. Czy wczoraj było prawdziwe? Czy może tylko wspomnienie jest prawdziwe? Zaiste, wczoraj się nie urodziłem.

Twarz Mulistego Stawu stała się maską pełnego udreki niezrozumienia.

– Mój drogi głupi Mulisty Stawie, poznałem wszystko – wyjaśnił Wen. – Najkrócej mówiąc, nie ma przeszłości ani przyszłości. Istnieje tylko teraz. Nie ma czasu, jedynie terażniejszość. Czeka nas wiele pracy.

Mulisty Staw dostrzegł w swym mistrzu coś niezwykłego: oczy mu błyszczały, a kiedy się poruszał, w powietrzu pojawiały się dziwne srebrzystobłękitne rozbłyski, jakby odbicia w płynnych zwierciadłach.

– Powiedziała mi wszystko – ciągnął Wen. – Wiem, że czas został stworzony dla ludzi, a nie na odwrót. Nauczyłem się go kształtować i zaginać, wiem, jak sprawić, by chwila trwała wiecznie, ponieważ to już się stało. I mogę nauczyć tych sztuk nawet ciebie, Mulisty Stawie. Słyszałem puls wszechświata. Znam odpowiedzi na wiele pytań. Zadaj jakieś.

Uczeń patrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Ranek był jeszcze zbyt wczesny, by być zwykłym wczesnym rankiem. I to było jedyne, co Mulisty Staw w obecnej chwili wiedział na pewno.

– No... co mistrz chciałby zjeść na śniadanie? – zapytał.

Wen spojrział poprzez śnieżne połacie, nad fioletowymi górami, ku złocistemu światłu dnia kreującemu świat. I zadumał się nad pewnymi aspektami człowieczeństwa.

– Aha – powiedział. – Jedno z tych trudnych...

Aby coś istniało, musi być obserwowane.

Aby coś istniało, musi mieć pozycję w czasie i przestrzeni.

To tłumaczy, dlaczego nie da się doliczyć dziewięciu dziesiątych masy wszechświata.

Dziewięć dziesiątych masy wszechświata jest wiedzą o pozycji i kierunku wszystkiego w pozostałej jednej dziesiątej. Każdy atom ma swoją biografię, każda gwiazda swoją teczkę, każda przemiana chemiczna swój odpowiednik inspektora z notatnikiem. Nie da się tego wyrachować, tutaj bowiem prowadzona jest rachunkowość całej reszty, a nie można przecież zobaczyć własnej głowy od tyłu*.

* Chyba że w bardzo małych wszechświatach.

Dziewięć dziesiątych wszechświata to w rzeczywistości dokumentacja.

A jeśli chcecie usłyszeć opowieść, pamiętajcie, że ona się nie rozwija. Ona faluje. Wydarzenia, które zaczynają się w różnych miejscach i różnych czasach, zmierzają wszystkie do tego maleńkiego punktu w czasoprzestrzeni, który jest momentem perfekcji.

Przypuśćmy, iż ktoś przekonał cesarza, by włożył nowe szaty z materiału tak delikatnego, że dla zwykłego oka szat wcale nie było. I przypuśćmy, że jakiś chłopczyk obwieścił ten fakt czystym, donośnym głosem...

Dostaniecie wtedy „Opowieść o cesarzu, który nie miał ubrania”.

Ale gdybyście wiedzieli trochę więcej, byłaby to „Opowieść o chłopcu, który dostał zasłużone bity za niegrzeczne zachowanie wobec władcy i został zamknięty w komórcie”.

Albo „Opowieść o całym tłumie, który został otoczony przez strażę i poinformowany, że to się wcale nie wydarzyło. Jasne? Ktoś chce dyskutować?”.

Może to być również opowieść o tym, jak całe królestwo dostrzegło nagle dobrodziejstwa płynące z „nowych szat” i wzbudziło w sobie entuzjazm dla zdrowych zabaw sportowych* w wesołej i orzeźwiającej atmosferze, które to zabawy miały z każdym rokiem więcej wyznawców, aż doprowadziły do recesji spowodowanej kraczem przemysłu tradycyjnych ubrań.

Może to być nawet opowieść o wielkiej epidemii zapalenia płuc w '09.

Wszystko zależy od tego, ile wiecie.

Przypuśćmy, że przez tysiące lat obserwujecie powolne nawarstwianie się śniegu, który jest prasowany i pchany po skale, aż lodowiec ocieli się swymi górami lodowymi do morza, a potem patrzycie, jak góra lodowa dryfuje po zimnych wodach, stopniowo poznajecie jej ładunek szczęśliwych niedźwiedzi polarnych i fok, które nie mogą się doczekać nowego, wspaniałego życia na drugiej półkuli, gdzie podobno pola lodowe pełne są chrupiących pingwinów, i nagle bum! – tysiące ton nie wiadomo jakim cudem pływającego żelaza i ekscytująca ścieżka dźwiękowa...

* Na ogół z użyciem wielkich, naprawdę wielkich pilek plażowych.

...chcielibyście poznać całą historię.

Ta konkretna zaczyna się od biurka.

Jest to biurko profesjonalisty. To oczywiste, że dla właściciela praca jest całym życiem. Są tu pewne... sentymentalne akcenty. Ale to takie sentymentalne akcenty, które w zimnym świecie obowiązku i rutyny dopuszcza użytkowość.

W większości znajdują się na jedynym fragmencie koloru w tym obrazie czerni i szarości. To kubek. Ktoś gdzieś chciał, by był to wesoły kubek. Znalazł się na nim niezbyt przekonujący obrazek pluszowego misia oraz napis „Dla najlepszego Dziadka na świecie”. Lekka zmiana stylu liternictwa w słowie „Dziadka” zdradzała, że pochodzi z jednego z tych straganów, które mają setki takich kubków, informujących, że są przeznaczone dla najlepszego na świecie Dziadka/Tatusia/Mamy/Babci/Wujka/Cioci/Puste.

W tej chwili w kubku znajduje się herbata z plasterkiem cytryny.

Na posępnym blacie leży również nóż do listów – w kształcie kosy – oraz kilka klepsydr.

Śmierć chwytą kubek szkieletową dłonią...

...wypił łyk, nieruchomiejąc tylko na chwilę, by raz jeszcze spojrzeć na napis, który czytał już tysiące razy. Odstawił kubek.

NO DOBRZE, powiedział tonem dzwonu pogrzebowego. POKAŻ MI.

Kolejnym elementem na biurku była mechaniczna konstrukcja. Konstrukcja to najlepsze słowo na jej określenie. Główny element stanowiły dwa dyski. Jeden ustawiono poziomo, a na nim umocowano krąg małych kwadracików czegoś, co miało się okazać dywanem. Drugi dysk stał pionowo i miał dużą liczbę ramion, z których każde podtrzymywało mały kawałek chleba z masłem. Kawalki umocowano tak, by obracały się swobodnie, kiedy obrót koła niósł je w stronę kręgu kawałków dywanu.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE ZACZYNAM ROZUMIEĆ ZASADĘ, powiedział Śmierć.

Małutka figurka obok maszyny zaszutowała sprężyste i rozpromieniła się, jeśli szczyrca czaszka może promienieć. Wciągnęła na oczodoły parę gogli, podkasała szatę i wgramoliła się do wnętrza mechanizmu.

Śmierć nigdy nie był do końca pewien, dlaczego pozwolił Śmierci Szczurów na niezależną egzystencję. W końcu był przecież Śmiercią, a to znaczy Śmiercią wszystkiego, łącznie z wszelkiego rodzaju gryzoniami. Ale chyba każdy potrzebuje jakiejś niewielkiej

częstki siebie, która może sobie pozwolić na – metaforycznie – bieganie nago po deszczu*, myślenie myśli nie do pomyślenia, chowanie się po kątach i szpiegowanie świata, czyli robienie tego wszystkiego, co zakazane, ale zabawne.

Śmierć Szczurów wolno nacisnął na pedały. Koła zaczęły się obracać.

– Ekscytujące, prawda? – odezwał się chrapliwy głos tuż przy uchu Śmierci. Należał do Miodrzekła, kruka, który zadomowił się tutaj jako osobisty środek transportu oraz dobry kolega Śmierci Szczurów. Angażował się w to wszystko, jak zawsze podkreślał, tylko dla gałek ocznych.

Dywaniki zawirowały. Malutkie kawałki chleba uderzały w nie losowo, czasem z maślanym młasniciem, a czasem bez. Miodrzekł obserwował je uważnie, na wypadek gdyby gdzieś miały się pojawić gałki oczne.

Śmierć zauważył, że sporo czasu i wysiłku poświęcono na wykonanie mechanizmu, ponownie smarującego masłem każdą powracającą kromkę. A inny, jeszcze bardziej skomplikowany, mierzył liczbę ubrudzonych masłem dywaników.

Po kilku pełnych obrotach wskaźnik relatywnego zasmarowania dywaników masłem przesunął się na 60 procent i dyski znieruchomiały.

I CO? – zapytał Śmierć. GDYBYŚ ZROBIŁ TO JESZCZE RAZ, MOGŁOBY SIĘ PRZECIEŻ OKAZAĆ...

Śmierć Szczurów przerzucił dźwignię sprzęgła i znów zaczął pedałować.

PIP, nakazał.

Śmierć posłusznie pochylił się bliżej.

Tym razem wskaźnik przesunął się zaledwie na 40 procent.

Śmierć pochylił się jeszcze bardziej.

Osiem kawałków dywanu, które zostały ubrudzone tym razem, okazało się bez wyjątku kawałkami ominiętymi podczas pierwszego testu.

Pajęczynowe koła zębate zawirowały we wnętrzu. Wysunęła się drżąca tabliczka na sprężynach, z efektem będącym wizualnym odpowiednikiem słowa „brzdęk”.

* Co jest aktywnością mocno przecenianą.

W chwilę później dwa sztuczne ognie zapłonęły niepewnie po obu stronach słowa ZŁOŚLIWOŚĆ.

Śmierć pokiwał głową. Właśnie coś takiego podejrzewał.

Przeszedł przez gabinet za biegnącym przodem Śmiercią Szczurów i zatrzymał się przed wielkim zwierciadłem. Było ciemne jak dno studni. Ramę zdobił wzór czaszek i kości, głównie dla zachowania stylu: Śmierć nie mógłby spojrzeć sobie w oczodoły w lustrze otoczonym cherubinami i różyczkami.

Śmierć Szczurów wspiął się na ramę i z jej czubka patrzył na Śmierć wyczekująco. Miodrzekł podfrunął i przez chwilę działał własne odbicie, zgodnie z zasadą, że zawsze warto spróbować.

POKAŻ MI, powiedział Śmierć. POKAŻ MI... MOJE MYŚLI.

Pojawiła się szachownica, jednak była trójkątna i tak wielka, że dało się zobaczyć tylko najbliższy narożnik. Właśnie w tym miejscu tkwił świat – zółw, słonie, małe orbitujące słońce i wszystko. To był świat Dysku, istniejący tuż przed totalnym nieprawdopodobieństwem, a zatem na pograniczu. Na pograniczu granica bywa przekraczana i czasami przeciskają się do wszechświata stwory, którym chodzi o coś więcej niż tylko lepsze życie dla dzieci i cudowną przyszłość przy zbiorach owoców oraz w sektorze usług domowych.

Nad każdym z pozostałych białych i czarnych trójkątów szachownicy, aż do nieskończoności, unosił się niewielki szary kształt podobny do pustej szaty z kapturem.

Dlaczego teraz? – pomyślał Śmierć.

Poznał je. To nie były formy życia. To były... formy niezycia. Były obserwatorami działania wszechświata, jego urzędnikami, audytorami... To oni pilnowali, żeby wszystko się kręciło i kamienie spadały.

I wierzyli, że aby obiekt istniał, musi mieć określoną pozycję w czasie i przestrzeni. Ludzkość pojawiła się zatem jako paskudny szok. Ludzkość bowiem praktycznie była elementami, które nie mają pozycji w czasie i przestrzeni – takimi jak wyobraźnia, litość, nadzieja, historia i wiara. Gdyby je odebrać, pozostałyby tylko mały, które często spadają z drzew.

Życie inteligentne było zatem anomalią. Utrudniało klasyfikację. Audytorzy tego nienawidzili. I okresowo starali się trochę uporządkować sprawę.

Rok temu astronomowie na całym Dysku ze zdumieniem obserwowali gwiazdy wirujące łagodnie na firmamencie – to żółt światła wykonał beczkę. Grubość świata nie pozwoliła im zobaczyć dlaczego, ale pradawna głowa Wielkiego A'Tuina wysunęła się i porwała z nieba asteroidę, której trafienie na Dysk oznaczałoby, że już nikt nigdy nie potrzebowałby terminarza.

Nie, świat sam potrafił się zatroszczyć o takie oczywiste zagrożenia. Więc teraz szare płaszcze preferowały bardziej subtelne i tchórzliwe potyczki dla zaspokojenia swej nieskończonej żądzы wszechświata, w którym nie wydarza się nic, co nie jest całkowicie przewidywalne.

Efekt upadania kromki posmarowaną stroną w dół był jedynie trywialnym, ale wiele mówiącym wskaźnikiem. Dowodził wzrostu ich aktywności. Zrezygnujcie, brzmiał odwieczny przekaz. Wróćcie do egzystencji grudek w oceanie. Grudki są łatwe.

Ale Śmierć dobrze wiedział, że wielka gra toczy się na wielu poziomach. I często trudno zgadnąć, kto prowadzi rozgrywkę.

KAŻDA PRZYCZYNA MA SWÓJ SKUTEK, powiedział głośno. I KAŻDY SKUTEK MA SWOJĄ PRZYCZYNĘ.

Skinął czaszką na Śmierć Szczurów.

POKAŻ MI, rzekł. POKAŻ MI... POCZĄTEK.

Tik

Była mroźna, zimowa noc. Ktoś dobijał się do tylnych drzwi, aż śnieg zsuwał się z dachu.

Dziewczyna, która właśnie podziwiała w lustrze swój nowy kapelusz, poprawiła i tak już głęboki dekolt sukni, by zapewnić nieco lepszą ekspozycję, na wypadek gdyby przybysz okazał się mężczyzną. Dopiero potem otworzyła drzwi.

Lodowate światło gwiazd ukazało ciemną sylwetkę. Płatki śniegu zbierały się już na płaszczu.

– Pani Ogg? – zapytał przybysz. – Akuszerka?

– Właściwie to panna – odparła dumnie. – I czarownica także, oczywiście.

Wskazała swój nowy spiczasty kapelusz. Wciąż jeszcze była na etapie noszenia go w domu.

– Musi pani natychmiast iść ze mną. To bardzo pilne.

Dziewczyzna wyglądała, jakby nagle ogarnęła ją panika.

– Czy chodzi o panią Tkacz? Ale jej termin wypada dopiero za parę ty...

– Przebyłem długą drogę – oświadczył przybysz. – Mówią, że jest pani najlepsza na świecie.

– Co? Ja? Odebrałam tylko jednego! – Panna Ogg była przerażona. – Biddy Spective jest o wiele bardziej doświadczona niż ja! I stara Minnie Forthwright! Pani Tkacz miała być moim pierwszym solo, bo ma biodra jak sza...

– Proszę o wybaczenie. Nie będę dłużej zabierał pani czasu.

Przybysz wycofał się w nakrapiany śnieżnymi płatkami mrok.

– Halo! – zawołała panna Ogg. – Halo!

Ale pozostały już tylko ślady stóp na śniegu. Znikały na środku zaśnieżonej ścieżki...

Tik

Ktoś dobijał się do drzwi. Pani Ogg położyła dziecko, które siedziało jej na kolanach, wstała i odsunęła skobel.

Ciemna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle letniego nocnego nieba. Jej ramiona wydawały się jakieś dziwne.

– Pani Ogg? Jest pani już mężatką?

– Tak. Drugi raz – odparła uprzejmie pani Ogg. – Jak mogę po...

– Musi pani natychmiast iść ze mną. To bardzo pilne.

– Nie wiedziałam, że ktoś ma...

– Przebyłem długą drogę – oznajmił przybysz.

Pani Ogg się zastanowiła. Było coś dziwnego w tym, jak wymawiał słowo „długa”. I teraz zauważyła, że biel na jego płaszczu to topniejący szybko śnieg. Poruszyło się mgliste wspomnienie.

– No więc tak – rzekła, ponieważ wiele się nauczyła przez ostatnie dwadzieścia lat. – To możliwe, i zawsze staram się jak najlepiej, możesz spytać kogokolwiek. Ale nie powiedziałabym, że jestem najlepsza. Zawsze uczę się czegoś nowego. Taka już jestem.

– Och... w takim razie zjawię się w bardziej dogodnym... momencie.

– Dlaczego masz śnieg na...?

Ale, nie znikając właściwie, przybysz nie był już obecny.

Tik

Ktoś dobijał się do drzwi. Niania Ogg ostrożnie odstawiła swoją wieczorną szklaneczkę brandy i przez chwilę wpatrywała się w ścianę. Długie życie poświęcone granicznemu czarownictwu* wyostrzyło jej zmysły, z których posiadania większość nie zdaje sobie sprawy. Coś w jej głowie zaskoczyło z kliknięciem.

W kociołku nad paleniskiem właśnie zaczynała wrzeć woda przeznaczona do butelki, która ogrzewała jej łóżko.

Niania Ogg odłożyła fajkę, wstała i otworzyła drzwi na wiosenną noc.

– Tak sobie myślę, że przebyłeś długą drogę – powiedziała, nie okazując zdziwienia.

– To prawda, pani Ogg.

– Wszyscy, którzy mnie znają, mówią mi: Nianiu.

Śnieg na płaszczu przybysza topniał i ściekał na ziemię. W tej okolicy śnieg nie padał już od miesiąca.

– To pilna sprawa, jak sądzę? – spytała, gdy w pamięci rozwijały się wspomnienia.

– Rzeczywiście.

– I teraz masz powiedzieć: musi pani natychmiast iść ze mną.

– Bo musi pani natychmiast iść.

– No więc... owszem, tak, jestem całkiem niezłą akuszerką, choć sama to mówię. Setki przyjęłam na ten świat. Nawet trolle, a to nie jest zajęcie dla osób bez doświadczenia. Znam porody w przód i w tył, a bywało, że prawie na bok. Ale zawsze jestem gotowa, żeby nauczyć się czegoś nowego. – Skromnie spuściła wzrok. – Nie powiem, że jestem najlepsza – dodała. – Choć muszę przyznać, że nikt lepszy nie przychodzi mi na myśl.

* Graniczna czarownica to taka, która pracuje na obrzeżach, w tych chwilach, kiedy zastosowanie mają warunki brzegowe – pomiędzy życiem a śmiercią, dobrem i złem lub – co najbardziej niebezpieczne – pomiędzy dzisiaj i jutro.

- Musi pani ruszać natychmiast.
- Ach, muszę? Tak? – rzuciła niania Ogg.
- Tak!

Graniczna czarownica myśli szybko, ponieważ granice mogą szybko się przesuwac. I uczy się dostrzegac, kiedy tworzy się mitologia, a najlepsze, co można zrobić, to ustawic się na drodze i pędzić, by dotrzynać jej kroku.

- Wezmę tylko...
- Nie ma czasu.
- Przecieć nie mogę tak po prostu wyjść...
- Juć!

Niania sięgnęła za drzwi po swój porodowy tobolek, trzymany tam właśnie na takie okazje. Był pełen rzeczy, o których wiedziała, że się przydadzą, a zawierał teć kilka takich, co do których modliła się, by nigdy nie były potrzebne.

- Gotowe – powiedziała.
- I wyszła.

Tik

Kiedy znowu wkroczyła do swojej kuchni, woda właśnie się zagotowała. Niania zdjęła kociołek znad paleniska.

W szklaneczce obok fotela pozostała jeszcze kropelka brandy. Niania wysuszyła ją, po czym dopełniła z butelki po brzegi.

Sięgnęła po fajkę. Jeszcze ciepła. Pociągnęła i tytoń się rozjarzył.

Potem wyjęła coś z tobołka, w tej chwili znacznie lżejszego, i ze szklaneczką w dłoni usiadła, by się temu przyjrzeć.

- No tak... – odezwała się w końcu. – To było... bardzo niezwykle...

Tik

Śmierć patrzył, jak obraz się rozplywa. Kilka płatków śniegu, które wyfrunęły z lustra, stopniało juć na podłodze, ale w powietrzu wciąż się unosił aromat fajkowego dymu.

ACH, ROZUMIEM. PORÓD W NIEZWYKŁYCH OKOLICZNOŚCIACH, ALE CZY NA TYM WŁAŚNIE POLEGA PROBLEM, CZY TEĆ TAKIE BĘDZIE ROZWIĄZANIE?

PIP, odparł Śmierć Szczurów.

ISTOTNIE, zgodził się Śmierć. CAŁKIEM MOŻLIWE, ŻE MASZ RACJĘ. WIEM, ŻE AKUSZERKA NIGDY MI NIE POWIE.

Śmierć Szczurów wyglądał na zdziwionego.

PIP?

Śmierć się uśmiechnął.

ŚMIERC! PYTAJĄCEMU O ŻYCIE DZIECKA? NIE, NIE POWIE.

– Przepraszam – wtrącił kruk. – Ale jak to możliwe, że panna Ogg stała się panią Ogg? Brzmi to trochę jak te wiejskie obyczaje, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

CZAROWNICE SĄ MATRONIMICZNE, wyjaśnił Śmierć. O WIELE ŁA-TWIEJ IM ZMIENIAĆ MĘŻÓW NIŻ NAZWISKO.

Wrócił do biurka i wysunął szufladę. Leżała w niej gruba księga oprawna w noc. Na okładce, gdzie tego typu księga mogłaby w innych okolicznościach nosić napis „Nasz ślub” albo „Album fotograficzny ACME”, litery głosiły: „Wspomnienia”.

Śmierć ostrożnie przewracał grube karty. Niektóre wspomnienia wyrwały się przy okazji, tworząc w powietrzu ulotne wizje, zanim kartka opadła, a one odlatywały i rozplywały się w odległych, ciemnych zakamarkach pokoju. Były tam również skrawki dźwięków, śmiechu, płaczu, krzyków i z jakiegoś powodu krótki wybuch melodii granej na cymbałkach, która sprawiła, że znieruchomiał na chwilę.

Nieśmiertelny ma wiele do zapamiętania. Czasami lepiej umieścić to w miejscu, gdzie będzie bezpieczne.

W powietrzu nad biurkiem zawisło jedno pradawne wspomnienie, poźółkłe i spękane na brzegach. Ukazywało pięć postaci, cztery na koniach, jedną w rydwanie, wszystkie najwyraźniej wyjeżdżające z burzy. Konie były rozciągnięte w galopie. Wokół wiele dymu, płomieni i ogólnego rozgardiaszu.

ACH, DAWNE CZASY, mruknął Śmierć, ZANIM NASTAŁA TA MODA NA KARIERY SOLOWE.

PIP? zainteresował się Śmierć Szczurów.

O TAK, przyznał Śmierć. KIEDYŚ BYŁO NAS PIĘCIU. PIĘCIU JEŹDZ-CÓW. ALE WIESZ, JAK TO BYWA. ZAWSZE WYBUCHNIE KLÓTNIA. TWÓRCZE NIEPOROZUMIENIA, ZDEMOLOWANE POKOJE, TAKIE RZECZY. Westchnął. I SŁOWA, KTÓRE MOŻE NIE POWINNY ZOSTAĆ WYPOWIEDZIANE.

Przewrócił jeszcze kilka kartek i westchnął znowu. Jeśli ktoś potrzebuje sprzymierzeńca, a jest Śmiercią, to na kim może w pełni polegać?

Zamyślony spojrzął na kubek z pluszowym misiem.

Oczywiście, zawsze jest rodzina. Tak. Obiecał, że więcej tego nie zrobi, ale jakoś nigdy nie mógł zrozumieć, o co chodzi z tymi obietnicami.

Wstał i wrócił do lustra. Nie zostało już zbyt wiele czasu. Obiekty w lustrze były bliżej, niż się wydawało.

Zabrzmiał dźwięk, jakby coś się ślizgało, potem moment przeobraźliwej ciszy i trzask, jakby na podłogę upadł worek kręgów.

Śmierć Szczurów drgnęła. Kruk wystartował natychmiast.

POMÓŻCIE MI WSTAĆ, PROSZĘ, odezwał się głos z mroku. A POTEŁ WYCZYŚCIE TO NIESZCZĘSNE MASŁO.

Tik

To biurko było niczym pole pełne galaktyk.

Obiekty się skrzyły. Były tu skomplikowane koła i spirale jaśniejące na tle czerni...

Jeremy zawsze lubił ten moment, kiedy zegar leżał przed nim w częściach – każde kółko zębate i sprężyna starannie ułożone na czarnym aksamicie. To było tak, jakby patrzył na Czas rozłożony, pod kontrolą, każdy jego element zrozumiały...

Chciałby, żeby jego życie też tak wyglądało. Przyjemnie byłoby zredukować je do niewielkich fragmentów, rozłożyć na blacie, oczyścić i nasmarować, a potem złożyć, żeby zazębiały się i wirowały w doskonałym zgodnym rytmie. Ale czasami się zdawało, że życie Jeremy'ego zostało zmontowane przez niezbyt sprawnego rzemieślnika, który pozwolił, by pewna liczba niewielkich, lecz ważnych elementów zrobiła „ping!” w ciemne kątki pomieszczenia.

Chciałby bardziej lubić ludzi, ale jakoś nigdy sobie z nimi nie radził. Nie wiedział, co ma mówić. Gdyby życie było przyjęciem, to on nie znalazłby się nawet w kuchni. Zazdrościł tym, którzy docierali aż do kuchni. W kuchni prawdopodobnie byłyby resztki przekąsek, a także butelka czy dwie taniego wina, które ktoś przyniósł ze sobą, zapewne całkiem niezłego, jeśli tylko wyłowić z niego popopione niedopałki papierosów. W kuchni mogłaby nawet trafić się jakaś dziewczyna, choć Jeremy dobrze znał granice swojej wyobraźni.

Ale Jeremy nigdy nie dostał zaproszenia.